TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 46. *Chicago, Ills., 13 Maja, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Słysząc ten głos, Red-Ralf otworzył szeroko gębę, zarzucił w tył głowę i zrobił rodzaj szkaradnego wykrzywienia twarzy, co u niego wyrażało nadmiar zadowolenia. Joe mniemał w tej zmianie rysów widzieć radość, wypływającą z tego małego wypadku, bo wiedział jak jest mały pastuch złośliwym; ale omylił się tym razem. Przybyły jegomość i nasz wyrostek byli to starzy znajomi, ale niezbyt wzajemnie się lubiący.

— Czyś pan raniony może? — zapytał Joe uprzejmie.

— Zdaje się, że żebra jeszcze całe, alem się wstrząsł djabelnie. Czy ztąd daleko jeszcze do Opactwa Carrow.

— Do Opactwa?... — powtórzył zdziwiony Beans.

— Tak jest, do Opactwa, czyli właściwie zamku Carrow, — powtórzył nieznajomy.

— Blizko dwie mil ztąd do zamku.

— To wielkie szczęście. Mogę zajść pieszo.

— Pan tam chcesz iść! ale to gmach pusty, nikt teraz tam nie mieszka!

— Ach, prawda! słyszałem o tem. Mniejsza o to. Jest to starożytny budynek, bardzo ciekawy zdaje mi się.

— Istotnie zajmujący, — odparł Joe.

— I zapewne nie jest wzbronionem podróżującemu dla rozrywki gentlemanowi obejrzeć ten dawny zabytek?

— Myślę że nie, — odpowiedział Joe, nie dający wiary, aby ciekawość jedynie była celem podróży nieznajomego gentlemana.

Podróżny wydobył sakiewkę i ofiarował Joemu koronę (rodzaj monety) w nagrodę za wyświadczoną przysługę. Młody wieśniak podziękował grzecznie, ale stanowczo odmówił przyjęcia zapłaty.

— Daj pan mnie, panie pastorze, ja ją wezmę! — zawołał Rudy Ralf. — To ja pierwszy zobaczyłem pana, a nie jestem taki dumny, aby nie przyjąć pieniędzy.

Duchowny zdziwiony, a oraz zły, że go poznano, dał ciekawcowi srebrny pieniądz, i z miną widocznie zakłopotaną oddalił się w kierunku Opactwa. Nie miał z sobą tłumoków żadnych, prócz małej torby podróżnej, którą niósł w ręku.

Ta przygoda niezmiernie rozbudziła ciekawość poczciwego wieśniaka. Zapytywał w duchu sam siebie, czyli ma iść w ślad za nieznajomym do zamku, czy nie.

— Kiedy przyjechał ten pan? — zapytał pocztyliona, który był zajęty naprawianiem tymczasowem połamanych kół dorożki.

— Przed godziną zaledwie, — odpowiedział.

— Czy kto na niego w karczmie oczekiwał?

— Nie; wysiadłszy z szybkowozu, zażądał koni do Opactwa, rozkazał mi najkrótszą udać się drogą i pędzić jakby szatan albo sługa sądowy za nami gonił.

— Poznaję po tem pastora, rzekł Ralf. — On wietrzy zdaleka sądowych siepaczy jak kot myszy poczuje, i nie bez przyczyny; pełno ich zawsze za nim w ślad chodziło, gdy mieszkał w Mortlake!

Joe pożegnał woźnicę, przyrzekając mu przysłać kołodzieja, by mu pomógł w naprawieniu dorożki, którą miał do Norwich odwieźć. Następnie, zamiast się udać w dalszą drogę do wsi, zwrócił się w stronę zwierzyńca.

— Wszak to nie tędy nasza droga! — krzyknął jego mały towarzysz, jak uważam, panie Beans, ten pastor tak ci w głowę zajechał, że zapominasz co robisz!

— Czy to istotnie duchowna osoba?

Wyrostek uśmiechnął się na to wszystko i kiwając głową odpowiedział, że w Mortlake pastorem go nazywano.

— A jakąż tam miał sławę?

— Och bardzo niedobrą; uciekł, narobiwszy długów i wyłudziwszy znaczne pieniądze od dzierżawcy Jacksa. Krawiec tamtejszy, Skitter, utrzymuje, że jeśli źle żyje z swoją żoną, to wskutek tego tylko, że ten pastor ślub im dawał.

Na ten wyraz: ślub, zmięszał się Joe: myśl straszna powstała mu w głowie. Może się mylił; ale postanowił tak działać, jakby był pewnym tego, o co się lękał. A niewiele mu już czasu zostawało.

— Czy umiesz wspinać się do góry, Ralfie? — zapytał pokazując mur zwierzyńca ciągnący się równolegle z gościńcem.

— Przez mur ten przeleźć? dziwne pytanie! a od czego mam nogi?

— A więc przeleziemy na drugą stronę.

W mgnieniu oka przedarli się przez mur do parku.

— A teraz, malcze, uważaj co ci powiem, a na całe życie chleb ci zapewnię. Widzisz to drzewo? — rzekł wskazując olbrzymią figę morwową o wielkich liściach, wznoszącą się na końcu ulicy przez zwierzyniec idącej.

— Widzę doskonale.

— Popełzaj więc jak wąż pomiędzy trawą i ukryj się na tem drzewie wśród gałęzi. Uważaj pilnie, czy kto nadejdzie i czy go do Opactwa wpuszczą. A nadewszytko nie ruszaj się ztąd, aż powrócę.

— Zostanę przez całą noc, jeśli potrzeba.

— Dobrze! Bądź pewny, że przyjdę.

Malec obrócił się ku Joemu, a wyraz jego odrażającej twarzy wypiękniał prawie uczuciem wdzięczności, jaką był przenikniony dla Joego, który prawie jeden uprzejmie się z nim obchodził, od kiedy chłopczyna na świat przyszedł.

— Panie Beans, — przemówił, czy cię może ten pastor niepokoi?

— Tak i nie, to jest... właściwie, nie umiem się jaśniej wytłumaczyć. Nie mam chwili do stracenia!

— On się nie zbliży do mieszkania, — dodał chłopczyna stanowczo.

— Jakże mu w tem przeszkodzisz? — zapytał Joe zdziwiony.

— Skręcę mu kark lub złamię nogę, jeżeli ci co złego zamyśla zrobić... Chociaż mi dał koronę, jestem wszelako tego zdania, że to zły człowiek na pastora. Zresztą, może to nawet pieniądz fałszywy!

To mówiąc, Ralf wyjął koronę z kieszeni, i dla przekonania się włożył między zęby; ale wytrzymała próbę.

— Nie... nie! — mruknął Joe po chwili zastanowienia się. — Zrób tak, jak ci mówiłem, a może wszystko dobrze pójdzie. Będą zawsze trochę czasu potrzebowali, aby przygotować biedną panienkę, jeżeli mają zamiar spełnić tę nikczemność, — pomyślał. — Patrz tylko, czy się zbliży do domu, — dodał znowu głośno, — ja wrócę niezadługo. No, idźże prędko na stanowisko odbywać straż!

Mały trzpiot rzucił się w trawę i zaczął pełzać w kierunku wspomnianego drzewa, nie sprawiając więcej szmeru jak kuna. Towarzysz niedługo postał patrząc na niego. Potem przy pomocy nizkiej gałęzi cedru, tuż przy murze rosnącego, Joe znów przelazł przez mur i pędem powrócił do tego miejsca, gdzie był zostawił pocztyliona i jego wyprzężone konie. Nie rzekłszy ani słowa, wskoczył na siodło, i jak szalony popędził do wsi, podczas kiedy pocztylion zdumiały, zaczął wołać za nim.

— A to jedna bieda po drugiej! — mruczał skrobiąc się w głowę, — najprzód dorożka się przewróciła i połamała, a teraz klacz gniada skradziona! Co na to mój pan powie? Tęga burza czeka na mnie w zajeździe pod „Aniołem!"

XXXIII.

Doktor Orine, wracając z ogrodu do mieskania w towarzystwie naszego bohatera, dzierżawcy i Khana, ujrzał przy drzwiach mistress Jarmy, z wiele obiecującą miną, że sędziwy masztalerz obudził się ze snu głębokiego, w który popadł zaraz po przesłuchaniu sądowem, i już kilkakrotnie pytał się o rektora, chcąc z nim mówić.

— Czy jaka zmiana teraz nastąpiła? zapytał rektor przestraszony.

— Tak jest, zmiana coraz korzystniejsza; ma się biedak znacznie lepiej, — odpowiedziała zacna matrona. — Chirurg zapewnił, że jest wszelka nadzieja, że wyzdrowieje. Dałby to Bóg! Poczciwe człowieczysko; był zawsze wiernym sługą naszego kochanego pana, a już nie wiele pozostaje tych, którzy służyli sir Williamowi za młodu!

— Czy Marcin ze mną samym chce się widzieć?

— Tak jest, łaskawy panie.

Rektor wszedł natychmiast ze swymi gośćmi do izby chorego, usiadł przy łóżku, i milcząc wziął Marcina za rękę. Staruszek podniósł ku niemu swe siwe oczy i kilka chwil nic nie mówiąc, patrzał na niego. Potem łzy puściły mu się po zmarszczonych licach. Przyszły mu na pamięć wyrazy, które baronet wyrzekł do niego owej pamiętnej nocy w bibliotece Carrowskiego zamku, kiedy mu pokazał kryjówkę na schowanie testamentu.

— Bądź dobrej myśli, mój poczciwcze! — przemówił rektor. Mamy wszelką nadzieję ujrzenia cię wkrótce w dobrym zdrowiu!

— Nie o sobie ja myślałem, — szepnął Marcin z westchnieniem. — Czem było moje nędzne życie w porównaniu jego życia drogiego? Myślałem o moim kochanym panu i o jego cierpieniach. Pragnę, abyś pan powziął wiadomości tyczące się jego testamentu.

Tu rektor opowiedział mu, jakim sposobem ważny ten dokument skradzionym został panu Elworthy, i jaki miał Sideler udział w tej tajemniczej sprawie.

— Ale nie lękaj się, — dodał, — chociaż ty i reszta sług wiernych pozbawieni zostaliście przez to nagrody wam przez nieboszczyka baroneta przeznaczonej, aby wam byt na starość zabezpieczyć, ja będę nad tem czuwał, żeby zamiary waszego pana względem was nie były zgwałcone.

Marcin niecierpliwie machnął ręką.

— Nie będziesz nigdy w niedostatku, — dodał rektor.

— Ej, tu nie o to chodzi!... nie o to! — zawołał stary masztalerz, — mniejsza o mnie,

czy skończę w szpitalu, lub w rowie, ten ostatek dni mojego niedołężnego życia, byleby nic nie brakło tym, których on miłował! I nie znaleziono więcej skradzionego testamentu, mówisz pan?

— Ani śladu, tak tego, który skradziono panu Elworthy, jak i duplikatu.

— Czas więc abym mówił, — rzekł staruszek. Nie mogę go sam dostać, ale mogę panu wskazać, gdzie go można znaleźć.

— Testament?

— Tak jest, panie! Na kilka dni przed zgonem, sir William zawołać mnie kazał do siebie, i zażądał, bym mu wyjawił kryjówki, gdzie w czasach zamieszek i wojen, przodkowie jego zwykle przechowywali kosztowności, srebra i dokumenta familijne wielkiej wartości. Takich schowków jest ze dwadzieścia w Opactwie. Pokazałem mu dwie z tych kryjówek. Złożyliśmy w jednej skarby i pamiątki jego rodziny, a wdrugiej duplikat testamentu.

— Wielki Boże! — zawołał doktor Orine mocno wzruszony ważnością tego odkrycia, które go nadzieją i ufnością napełniło, — zniweczymy więc podłe intrygi jego nieprzyjaciół!

— Niezawodnie!

— Gdzież są te kryjówki?

— Tylko dwom osobom wolno mi wyjawić tę tajemnicę.

— Dwom osobom? — powtórzył niespokojnie rektor, komuż to?

— Tak jest; dla każdej z nich mam osobną tajemnicę do wyjawienia. Przyjacielowi mojego pana mogę wskazać, gdzie się znajduje testament; ale tylko synowi jego wolno mi wskazać, gdzie są schowane skarby i papiery ważne dla rodziny, dokumenta dotyczące posiadania prawnego rozlicznych majętności, i mam to przeczucie pewne, że nie umrę przed ujrzeniem tego syna utraconego! Bóg nie dozwoli, aby jego dziedzictwo dostało się w ręce nieprawe! Znajdzie się ten, komu słusznie przynależy się spadek po szlachetnym baronecie! ujrzę go biorącego w posiadanie zamek swoich pradziadów! Nie mogę umrzeć, póki go nie zobaczę!

— Dałby to Stwórca wszechmocny! — rzekł zacny rektor. Ale testament, Marcinie, gdzie testament? od znalezienia jego zawisło szczęście Elleny!

— A gdzież jest moja panienka droga?

— U swego opiekuna, pułkownika Mowbray!

— On jest jej opiekunem! krzyknął starzec. — Niechże Bóg jej z pomocą przybywa w takim razie! bo się dostała w ręce człowieka, który nigdy szanować nie umiał węzłów pokrewieństwa, słabości kobiety, ani zaufania mężczyzny! Słuchaj mnie tedy, panie łaskawy! Tej nocy, kiedy mnie sir William zawołał do siebie, odezwał się do mnie w te słowa, które wiernie zachowałem w pamięci, zwykle, każdy wyraz, który kiedy z ust jego słyszałem. — Marcinie, powiedział baronet, wybrałem ciebie, najstarszego sługę mojej rodziny, i doktora Orine, wiernego i szczerego przyjaciela, abyście strzegli mego testamentu, który ma być tylko w takim wypadku na jaw wydobyty, gdyby wskutek zbrodniczych zamachów, lub innej nieszczęśliwej przygody, zginął ten, który oddałem memu notaryuszowi. Co się zaś tyczy drugiego schowku tajemniczego, ten tylko synowi memu wyjawisz. — Dając więc panu możność wydobycia testamentu, pełnię wolę mego zmarłego pana. Byłby on sam pokazał panu ten schowek, gdyby ów niegodziwy skrytobójca nie był przeciął pasma jego żywota.

— Gdzież tedy szukać należy testamentu? — zapytał z niecierpliwością rektor.

— Pan znasz bibliotekę, gdzie zwykle przesiadywał sir William?

— Naturalnie że ją znam!

— A tarczę herbową, rzeźbioną w dębowej tafli nad kominkiem?

— O! zauważałem ją ze sto razy; jest pod nią dewiza Mowbrayów: In Trau Vast.

— Tak jest; otóż pociśniesz pan rękę u góry tarczy widoczną, a znajdziesz małą framugę zawierającą testament. Dałby to Bóg, aby nie było jeszcze za późno na zniweczenie zamiarów wyrodnego brata, który więcej się cieszy tem, że odziedziczy majątek sir Williama, niż zgonem jego się smuci!

Strudzony wysileniem tak długiej rozmowy, stary wyciągnął się na łóżku, i w kilka minut zasnął jak dziecko.

W tejże chwili otworzyły się drzwi pokoju, gdzie był przyszedł doktor Orine ze swoimi gośćmi po rozmowie z Marcinem, gdy ukazała się ayah. Rysy jej śniadej twarzy nosiły piętno jakiegoś postanowienia rozpaczliwego, które wyniknęło po długiem pasowaniu się uczuć

i woli Indyanki. Henryk, któremu nie tajnem było, że nie chętnem okiem widywała go przy boku Elleny, spojrzał na wchodzącą z niedowierzaniem.

Nie oglądając się na resztę osób obecnych, Indyanka posunęła się prosto ku naszemu bohaterowi, a patrząc nań przez kilka chwil, westchnęła i przemówiła:

— Więc pan wróciłeś?

— Dla zawstydzenia i pomięszania szyków mym wrogom, do których i Zara się liczy!

— Byłam istotnie nieprzyjaciółką twoją, ale pomimo woli musiałam stłumić moją niechęć. Przywiązanie moje ku Ellenie pokonywa postanowienie, jakie oddawna powzięłam! serce moje, nie rozsądek, ustępuje przed koniecznością.

— Wytłumacz się, — odezwał się zniecierpliwiony rektor, — co chcesz powiedzieć?

— Za dwie godziny Ellena z Miran-Hafazem staną razem przed ołtarzem; kapłan przybył i...

— Nigdy! to nigdy nie nastąpi! — przerwał Henryk z uniesieniem gwałtownem. Nieba zeszlą raczej gromy ogniste, nim dopuszczą, aby sierota, która sir Williama jak własnego ojca kochała, miała oddać swoją rękę temu, który...

— Innemu, kiedy wuj wyznaczył dla niej już małżonka, — dodał Khan. Zapewne miał pewne powody przeszkodzenia Henrykowi w kończeniu zaczętej myśli.

Zara kolejno spoglądała na obudwu; gotową była ocalić Ellenę, ale za nic w świecie nie byłaby wyrzekła jednego słówka, któreby mogło narazić osobę Mirana.

— Gromy niebieskie niczemu nie przeszkodzą! — zawołała z pogardliwym uśmiechem. — Ale Ellena jest uzbrojoną, by się targnąć na własne życie! Miran może ją zaślubić, ale tylko trup w jego objęciach zostanie!

Serce Henryka silnie kołatało, kołysane najsprzeczniejszemi uczuciami wdzięczności, przywiązania, zgrozy i podziwienia na ten dowód poświęcenia i stałości swej narzeczonej.

— Ocal ją, — wykrzyknął do piastunki, — a błogosławić cię będę! Nie dla siebie, lecz dla niej cię błagam. Pomnij, żeś ją od dziecka wychowała i karmiła, że ona kochała cię tak serdecznie dopóki...

Tu się wstrzymał, nie chcąc kończyć, z obawy by nie urazić Indyankę.

— Dopóki jej nie zdradziłam! — domówiła ayah, wpatrując się w niego.

Henryk milczał.

— Gdybym była widziała najmniejsze wahanie, najlżejszą słabość w jej sercu dziewiczem, trwałabym przy moim zamiarze. Ale nie mogę poświęcić na śmierć przedwczesną mej wychowanki! Ocalę ją pod jednym warunkiem, dam ci skarb najwyższy w świecie, dziewicę, której miłość do tego stopnia posiadasz, że dla ciebie śmiercią gardzić gotowa...

— Mów że, mów! jaki jest warunek? — przerwał młodzian.

— Jeżeli pragniesz złota, — rzekł doktor Orine, — nie lękaj się wyrazić, jak wielkiej żądasz kwoty? Jestem majętny, i dla zapewnienia szczęścia mego przybranego syna, z radością zaspokoję twe żądze!

Spojrzeniem dumy obrażonej, położyła Indyanka koniec tej mowie.

— Chcecie mi złotem płacić?... Dzieci zimnej Europy podług własnej chciwości oceniacie resztę ludzi! Gdybyście przedemną wysypali wszystkie bogactwa Indyi, wszystkie skarby, które wasze przeklęte plemię złupiło i wywiozło z mej nieszczęśliwej ojczyzny, nie skusilibyście mnie niemi! Zary złudzić, ani przekupić nie można! Ona tylko swych uczuć własnych posłucha...

Godność, z jaką wyrzekła te słowa, przejęła obecnych mimowolnym szacunkiem. Trudno było powątpiewać, że prawdę mówiła.

— Przyrzeknij mi, — dodała, — że nie podniesiesz ręki na Mirana, że nie będziesz szukał sposobów szkodzenia mu, nie targniesz się na jego życie, a ja przeszkodzę zawarciu tego małżeństwa. Lecz jeżeli nie dasz mi tego przyrzeczenia, zostanę obojętnym świadkiem wszelkiego nieszczęścia, które ztąd może wyniknąć.

Była to ciężka próba dla kochanka Elleny, uważającego za święty obowiązek pomścić śmierć swego dobroczyńcy i zniewagę jego siostrzenicy wyrządzoną. Nie mógł czynić obietnicy zapewniającej bezkarność zabójcy sir Williama i Waltera. Pobladły na twarzy i drżącemi usty odmówił Zarze żądanego obowiązania.

— Nie mogę dać tego przyrzeczenia, a uwodzić cię czczemi słowy nie chcę. Będę ścigał tego zbrodniarza po całej ziemi!

— Żegnam cię, — rzekła chłodno mamka i zwróciła się ku drzwiom.

— Stójcie! — wtrącił Khan, stając jako pośrednik. — Odmowa twoja jest zuchwałą i nierozważną, — szepnął do ucha młodzieńcowi. — Czyż nie masz wiary w sprawiedliwość Boga? Sądzisz, że Jego moc tak jest ograniczona, iż nie znajdzie innego ramienia jak twoje do wykonania Jego wyroków? Zostaw winowajcę tej Najwyższej Istocie, która go prędzej lub później ukarze.

Henryk jeszcze się wachał.

— Pomnij, — dodał rektor, — że sąd ludzki już zajmuje się tropieniem jego śladów.

— Dobrze więc, — rzekł wreszcie młody Ashton, — przyrzekłem ci nie targnąć się nigdy na mego rywala, chyba w razie osobistej obrony, lub dla zasłonięcia przed nim tych istot, których życie droższe mi jeszcze od mego.

— I dotrzymasz wiecznie danego słowa? — zapytała ayah.

— Jak szczerze pragnę Ellenę nazwać moją małżonką!

— Teraz ci wierzę. Otóż więc Ellena jest w Opactwie. Za dwie godzin zmuszą ją poślubić tego, którego nie cierpi, ślub ma się odprawić w bibliotece, pułkownik i ten grobowiec pobielany, który on zowie swą żoną, będą oboje przytomni. Wskażę ci miejsce, zkąd wszystko widzieć możesz, co się dziać będzie, w chwili, gdy wszelka nadzieja ratunku opuści Ellenę, wejdziesz, by ją uwolnić.

— Biblioteka! zaiste widownia godna takiej zbrodni! — zaiste zawołał Henryk z goryczą, — nie jest że odpowiednem, aby scena pierwszej ofiary służyła także dla spełnienia drugiej? Chodźcie, spiesznie! — dodał, zwracając się do Khana i doktora Orine, — niecierpliwość dręczy mnie, krew burzy się we mnie, jak ogień buchający z wnętrza wulkanu! Bieżmy do zamku!

— Jeszcze nie czas, — rzekła ayah.

— Potrzeba nam pomocy, dodał rektor; — czekajmy na powrót Joego i wezwanych przez niego ludzi.

— Teraz dowiedziałeś się o tem, czego lękałem się dla ciebie, — przemówił renegat, wstrzymując za ramię młodzieńca. — Wiedziałem, gdzie nikczemny pułkownik zamknął swą siostrzenicę, ale nie chciałem ci powiedzieć, aż w chwili stosownej. Teraz krew zimną zachować należy; niechaj twój umysł porywczy da się kierować rozsądkowi tych, co nie są zaślepieni namiętnością.

— Krwi zimnej! — powtórzył młodzian, odpychając jego rękę, — mam mieć zimną krew, teraz, gdy wąż dławi już swemi pierścieniami niewinną gołąbkę, gdy gwałtowność złoczyńcy zagraża mej ukochanej, która jest marzeniem mych lat młodocianych, nadzieją i ozdobą mojego życia? Krwi zimnej! Chyba wprzód zmień całą moją naturę.

— On wszystko zgubi swą popędliwością! — mruknął Khan. — Takie już jego przeznaczenie; któż zdoła walczyć przeciw losowi?

Przywiązanie rektora i dzierżawcy czynniejszy przybrało pozór. Doktor Orine kazał zaprządz do dorożki i obadwaj wybierali się jechać za Henrykiem, który z żywością swego ognistego usposobienia, wybiegł sam jeden z pokoju i pędził jak szalony przez trawnik i ogród plebanii.

— Zabierzcie mnie z sobą! — rzekła ayah do odjeżdżających.

— A to po co?

— Muszę pilnować, aby szaleniec dotrzymał obietnicy. Biada mu, gdyby o niej zapomniał!

— Ja także jadę z wami, — dodał Khan, — mam wypłacić dług żyjącemu i zmarłemu; może już nadeszła chwila od uiszczenia się z niego.

Nie minęło kilka minut, a powóz unoszący ich, pędził szybko przez błonie na drodze do Opactwa Carrow.

XXXIV.

Skoro się Rudy Ralf ukrył pośród najwyższych konarów szerokolistnej figi na końcu alei zwierzyńca, zaczął przemyślać nad najlepszymi sposobami przeszkodzenia wielebnemu Tordletexta w dojściu do zamku. Tak dumając, spostrzegł na końcu tejże ulicy rów szeroki i głęboki, oddzielający zwierzyniec od ogrodu, zamek otaczającego. Rów ten wykopany był niegdyś w celu wstrzymania danieli od uszkodzenia kłąbów i kwiatów ogrodowych. Myśl nagła zajaśniała w głowie młodego figlarza, aż mu się małe oczki zaiskrzyły złośliwą radością. Rów ten do połowy wodą napełniony, w tem miejscu tylko po małej kładce dla pieszych urządzonej przejść

można było; most służący do użytku przyjezdnych z drugiej strony zwierzyńca się znajdował.

— Oto właśnie czego mi potrzeba! — szepnął.

Pastor nadchodził dopiero dźwigając swoją torbę podróżną, i potrzebował tylko rów przebyć, aby się dostać do Opactwa. Ale w tej chwili, kiedy przyszedł na środek mostku, składającego się z wązkiej deski i poręczy po jednej stronie, psotnik nasz jednem pchnięciem rzucił go w rów.

Napad ten tak był niespodziewany, że podróżny nie miał czasu stawić najmniejszego oporu, i kilka minut szamotał się, by się utrzymać na nogach wśród błotnistej wody, aż przeszedł po pod kładkę.

Radość rudego malca jeszcze większą była, niżeli wtedy gdy złapał królikarza w zasadzkę; duchowny był zaiste szlachetniejszą zwierzyną!

— A ty niecnoto! gałganie jakiś! ja ci... ja ci kości pogruchocę! — ryknął wielebny Tordletexte drepcąc po wodzie, która dość znacznej była głębokości, a brzegi tak były wysokie, że trudno było bez pomocy się wydobyć.

— Jak mnie pan złapiesz! — odparł mały ulicznik.

— Zaraz mi pomóż ztąd wyleźć!

— O, co nie, to nie! Z ciężką biedą udało mi się pana tam wtrącić!

— Ja ci... ja ci dam gwineę!

— Nie chcę!

— Dam ci dwie! ty łotrze mały!... chciałem powiedzieć, mój przyjacielu!

— Nie! pan kłamiesz, najmocniej o tem jestem przekonany

— Dla czego tak myślisz?

— Bo mnie pan swoim przyjacielem nazywasz, a ja nim nie jestem, wiadomo panu doskonale... Nie, nie pomogę panu wyleźć z rowu, ale powiem, co uczynię dla pana.

— No, cóż takiego?

— Usiądę na poręczy, aż przyjdzie konsztabl, który pana pastora zaprowadzi do aresztu, a tymczasem będę pilnował, żebyś się pan nie utopił.

Na wspomnienie konsztabla i aresztu, wielebny pastor mocniej się jeszcze przestraszył, niż to chciał okazać, i znowu nęcił chłopca ofiarowaniem pieniędzy, ale bezskutecznie. Psotnik usiadł poważnie na wątłej poręczy i czuwał nad pastorem, oczekując powrotu Joego.

Wielebny Tordletexte zaczął tedy krzyczeć z całej siły, i szczęściem dla niego, usłyszano w końcu te wołania. Z drzwi bocznych wyszło dwóch służalców Miran-Hafaza dobrze uzbrojonych.

Trudno wiedzieć, czy mały przyjaciel Joego znał przysłowie: ,,Lepsza ostrożność niż odwaga!" Cokolwiek bądź, zaledwie ujrzał tych ludzi uzbrojonych w strzelby i zbliżających się ku niemu, skoczył z poręczy i ze zwinnością dzikiego kota poczołgał się aż w środek gęstych zarośli. Z tego ukrycia widział z wielkiem dla siebie umartwieniem nieprzyjaciela swego wydobytego z rowu, ale ten wyglądał bardziej umierający, niż żywy po mimowolnej kąpieli, czem się nieco rudy psotnik pocieszał.

Jeden ze slug powrócił do zamku z wielebnym Tordletexte. Drugi, stosując się zapewne do otrzymanego zlecenia, zbliżył się do mostu ze strzelbą na ramieniu. Schylił się dla podjęcia torby pastora na kładce pozostałej.

Nim Ralf postanowił co ma dalej robić, czekał, czy ten człowiek przejdzie przez mostek.

— Uciekam! — szepnął ujrzawszy, że przeszedł. — Strzelby i tym podobne zabójcze narzędzia wcale mię nie nęcą... Dobrze, dobrze! szukaj! — mruczał, widząc, jak służalec patrzał na wszystkie krzaki, koło których miał iść; — będziesz miał oczy nie lada, jeśli mnie znajdziesz!

I popełzał dalej wśród trawy i chwastów starając się jak najmniej robić szelestu. Zatrzymał się dopiero, gdy znaczną zostawił przestrzeń między sobą a ścigającym go slugą.

XXXV.

Red-Ralf nie uszedł jeszcze pół mili w swym odwrocie wśród krzaków i młodych zarośli, kiedy usłyszał szelest kroków, zbliżających się w przeciwnym kierunku. Zatrzymał się, poskrobał w głowę podług swego zwyczaju, gdy był w kłopocie, i myślał przez kilka chwil nad tem, co mu czynić wypada.

— Jeżeli wrócę tą samą drogą, — mówił sam do siebie, — spotkam tego draba z fuzyą, który gotów mnie zabić bez namysłu, jak królika. Jeżeli zaś naprzód pójdę, mogę wpaść w ręce Bóg wie czyje...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

Wszelkie usiłowania, w celu odparcia korsarzy okazały się płonnemi, już korsarze zahaczyli most o pokład Syreny i po nim rzucili się na statek. Chmura strzał pierwszy ich zapęd zniweczyła, kilka trupów plusnęło w morze, a tymczasem siekierami i toporami starano się odciąć zgubą grożący most od statku, ale celne strzały korsarzy powaliły robotników, i nikt nie śmiał się na pewną śmierć narażać. Drugi napad korsarzy powiódł się lepiej, gdyż kilkunastu opryszków zdołało wedrzec się na pokład. Rozpoczęła się krwawa bójka na topory i szable: hałas, wrzask, krzyk, jęk, pluskotanie spadłych we wodę, wycie rozbójników pijanych mordem, krew strumieniami napełniająca pokład; wszystko to sprawiło zgrozą przejmujący widok.

Adam i Jerzy mieli naturalnie czynny udział we walce. Podczas zamięszania powstałego przy starciu się na pokładzie, pospieszył Adam z kilkoma innymi do mostu, aby zatamować drogę większemu napływowi rozbójników. Wysunął się naprzód i stanął sam jeden na moście, a ręka jego wprawna do robienia mieczem tak była straszliwa, że zbójcy cofnęli się parę kroków w tył, ale gdy zobaczyli, że towarzysze Adama zaczynają most rąbać, rzucili się z wściekłością naprzód. Miecze szczęknęły: parę trupów znów w morze plusnęło. Z drugiego statku korsarskiego chmura strzał zaszumiała w koło Adama, ale wszystkie chybiły celu i padły w morze. Ulękli się zbójcy, gdyż Adam stał sam jeden u wnijścia na pokład, jak bożek wojny, przed którego wzrokiem korzą się całe zastępy, jak ów Horacyusz, który sam jeden wstrzymywał zapęd hufców Porsenny.

Zbójcy odstąpili nieco w tył, parę strzał świsnęło, kilka przebiegło mimo głowy Adama, a jedna z jękiem odbiła mu się od piersi i drżąca legła u stóp jego. Zlękli, się zdumieli, sądząc, że mają przed sobą człowieka, którego się strzała nie tyka. Adam zaś miał pod opończą pielgrzymią kaftan bawoli, pod którym jeszcze pancerz był ukryty.

Tymczasem most przerąbano, deski runęły w morze, a z nimi rozbójnicy i... Adam. Okrzyk przestrachu wydobył się z jednej piersi na pokładzie Syreny: był to głos Jerzego, który widząc grożące niebezpieczeństwo, skoczył Adamowi na pomoc, lecz niestety zapóźno.

Lecz nie! jeszcze nie zapóźno. Adam nie spadł we wodę, lecz uczuwając spadające belki pod nogami, szybko schwycił się poręczy, i tak uniknął okropnej śmierci. Prawą ręką trzymał miecz, a lewą powstrzymywał się od upadku, bujając po nad głębinami morza. Zwisła mu wnet lewa. W tej chwili chmura strzał korsarskich utkwiła koło niego w boku Syreny, nie tykając Adama. Na to nadbiegł Jerzy i wyciągnął go na pokład, gdzie uściskali się owi dwaj mężowie.

Odcięci korsarze na pokładzie Syreny, stali się łupem rozbezstwionych podróżnych. Został tylko jeden niezwyciężony; czarny pancerz pokrywał jego pierś szeroką, a rękę tak miał wprawną w robieniu mieczem, że każde jego cięcie wydawało krzyk boleści, rozlewało krew

strumieniami. Nikt go nie śmiał zaczepić, zginąłby bowiem.

Dostrzegł to Adam, a chociaż ręce drżały mu jeszcze od wytężenia przy trzymaniu się poręczy, jednak bez namysłu poskoczył ku rozbójnikowi. Starły się ich miecze, — cięcia sypały się gradem, miecz korsarza pękł przy samej rękojeści, a klinga z dźwiękiem wyleciała w górę. Zaklął korsarz okropnie, szybko w tył uskoczył, w mgnieniu oka dobył sztyletu i rzucił się na Adama, pchnął go silnie w pierś, ale żelazo zemknęło się po pancerzu. Adam uskoczył, machnął mieczem, a głowa korsarza potoczyła się po pokładzie. Zabrzmiał głos radosny, rzucono się do Adama dla uściskania go. W pierszym zapale zapomniano, że jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło. Podczas tego drugi statek korsarski stanął na prawej stronie Syreny. Naraz z prawej i lewej strony zaświstały pociski, które nie jedną pierś na wylot przeszyły. Przerażeni podróżni nie wiedzieli co począć i jak się bronić. Dowódzca okrętu był jednym z pierwszych, którzy w obronie polegli — nie było więc głowy, którąby bitwą kierowała. Wszystkch oczy zwróciły się teraz błagająco na Adama, jakby prosząc o objęcie komendy, jakby powiedzieć chciały, że w nim jednym pokładają tylko nadzieję ocalenia. Zrozumiał to spojrzenie Adam i szybko stósowne wydał rozkazy — rozporządził załogą. Nikt mu się nie opierał, poddając się chętnie.

Pomimo mężnej obrony nie zdołali podróżni powstrzymać korsarzy, którzy obydwa statki jednocześnie do boków Syreny przyparli i ze strasznym krzykiem na Syrenę hurmem się rzucili. Przez chwilę było zamięszanie. Pierś starła się z piersią, żelazo z żelazem; słychać tylko szczęk mieczy, chrzęst toporów po czaszkach, świst strzał, jęk rannych i konających.

Około Adama i Jerzego ukazał się najprzód wyłom; miecze ich rozsiewały śmierć na około. Oni dwaj dokazywali tyle, co cała załoga.

Kilku korsarzy pobieglo do dolnych mieszkań okrętowych. Już odwalili barykadę, już kilku, którzy się na obronę wchodu rzucili, poległo, gdy Adam na szczęście tę scenę dostrzegł i jak piorun spadł na karki rozbójnikom. Zbójcy nie mogli tak silnego natarcia wytrzymać, więc odstąpili, lecz widząc, że Adam sam jeden opór stawiać im zamyśla, uderzyli nań gwałtownie.

Daremna praca, jego zmódz nie można! wnet to zbójcy poznali; więc kiedy siłą nic dokazać nie mogli, postanowili go zwalczyć podstępem. Jeden z korsarzy przyczołgał się Adamowi pod nogi, schwycił go oburącz i zwalił go na ziemię. Szczęściem nadbiegł Jerzy z kilkoma innymi, którzy Adama z rąk zbójeckich uwolnili, a wtenczas wspólnie wchód całkiem oczyszczono. Rzeź była sroga, z obydwóch stron ludzi znacznie ubyło, jednak zwycięztwo przechylało się widocznie na stronę podróżnych.

Nagle korsarze zakrzyknęli .. i wnet, kto mógł, umykał ze Syreny. I podróżni spostrzegli okręt, który im przy sprzyjającym wietrze, zdążał na pomoc. Szybko więc zahaczono korsarskie statki, aby nie uszły. Nadpłynął okręt, korsarze po krótkim oporze ulegli przemocy; powiązanych wrzucono w morze na pastwę dla potworów morskich oprócz dwudziestu, których na masztach powieszono. Drugi statek zabrano i kosztowności na korsarzach zdobyte podzielono między podróżnych, zachowując połowę dla pielgrzymów, ciągnących w ówczas masami z Europy do Ziemi świętej.

Tak skołatana Syrena popłynęła do najbliższego portu Trypolis, dokąd w dziesięć dni po opisanej katastrofie zawinęła.

Po zburzeniu zamku Kostrzewa połączył się Michał z Kiryłłem, i puścili się milcząc, ku Trzciniakowi. Jakie myśli Michałem miotały, trudno byłoby samemu nawet Michałowi opowiedzieć. Zdaniem jego było, że Kostrzewski, nie mogąc uniknąć śmierci, zginął w jaskini, do której wpadło jego pięciu towarzyszy. Nie żal mu było stryja, gdy tylko Kostrzewski zginął. Ale gdzie Marya?... Może się na zamku spaliła.

Po upornem milczeniu odezwał się Michał:

— Żałuję tylko, że nie mogłem tego łotra żywcem wbić na pal. Lecz i ta śmierć nie będzie najlżejsza.

— A ja, — rzekł Kiryłł, — żałuję, że nie mogłem mego przyrzeczenia dotrzymać.

— Jakiego przyrzeczenia?

— Ha! byłem niedawno u tego dumnego panka i ofiarowałem mu mój łuk i rękę na usługi. Wiesz Michale, że celnie strzelam, mogłem mu więc wtedy śmiało powiedzieć, że skoro mnie przyjmie, tobie tę oto strzałę pod serce wpakuję.

Tu pokazał strzałę ze zardzewiałem żelazcem.

— Jakto?.... ty... śmiałeś..., — rzekł Michał zgrozą przejęty, patrząc z obawą w oczy Kiryłłowi.

— Tak, śmiałem, — rzekł Kiryłł spokojnie, — i pewno byłbym ci ją pod żebro wpakował, gdyby...

— Łotrze! nie zapominaj, że ja twoim panem! — zakrzyknął Michał wściekle.

— Ba!... byłeś nim, lecz teraz... teraz jesteś zwyciężonym, zbrodniarzem, zabójcą...

— Milcz! albo... — krzyknął Michał w największem uniesieniu, uderzając ręką po rękojeści miecza.

— Ho! ho! — zawołał Kiryłł szyderczo, — dostałeś takie plagi, jakie i mnie się dostawały, więc cóż chcesz jesteśmy sobie równi!... Zresztą ja ci zawsze jeszcze mogę być użytecznym.

Michał trząsł się ze złości, ale zamilkł. Po małej chwili zapytał:

— I cóż, Kostrzewski jak cię przyjął?

— Odrzucił mnie i mą ofiarę, a tak znów do ciebie przyszedłem a nawet pomogłem ci zdobywać zamku.

Znów nastąpiło milczenie.

Naraz Kiryłł zaczął się bić ręką po czole i rzekł do Michała:

— Do djabła, miałem ci coś powiedzieć i zapomniałem do śmierci. Wczoraj złapałem konnego posłańca z Kostrzewa. Poznałem go zaraz, wpakowałem mu strzałę w plecy, ale nic więcej nie zdobyłem, jak trochę kresek.

— I ty mi o tem nie powiedziałeś?

— Wszak mówię, że zapomniałem.

— Pismo więc zdobyłeś?

— Tak.

— Cóż tam stoi?

— Alboż ja wiem? Nie umiem rozmawiać się z kreskami, ani odgadywać djabelskich znaków. Ale jeśli chcesz, to czytaj, mam bowiem w kieszeni.

To mówiąc, wydobył pogniecione pismo, które Michał szybko pochwycił. Było to pismo Kostrzewskiego do Sieciecha z podziękowaniem za ostrzeżenie, oraz z uwiadomieniem, że puszcza się ze żoną i Jerzym do Palestyny, a Skirmuntowi zleca zarząd nad majątkiem.

— No i cóżeś się tak zasępił? — zapytał Kiryłł, gdy Michał po przeczytaniu zmiął pismo w ręku.

— Ha! spaliliśmy gniazdo, ale ptaszki uleciały, — rzekł Michał.

— Jakto? kto? gdzie?

— Słuchaj!

Tu Michał przeczytał pismo Kiryłłowi, a potem go zapytał:

— Do kogo biegł ten posłaniec, któremuś to pismo odebrał?

— Nie wiem, gdyż go na miejscu uśmierciłem.

— Hm!... — rzekł Michał po krótkim namyśle, — trzeba i nam pielgrzymkę do Ziemi świętej odbyć. Kirylle, pójdziesz ze mną?

— Ha! nietylko z tobą, ale nawet sam gotówbym się za nim puścić. Wiesz przecież, że mam dla niego strzałę.

— Ale którędy mogli oni się puścić. Dróg tak wiele!...

— Jednak jeden tylko mają cel, to jest nawiedzić grób Chrystusa, w owem żydowskiem mieście... zapomniałem już jak się to nazywa.

— Jerozolima!

— Pewnie! Więc do tego miasta pójdą i tam ich w każdym razie znaleziemy. Drogę tamdotąd ty najlepiej wiedzieć powinieneś, boś uczony, w Krakowie bywałeś, a nawet czytać umiesz, i księdza w kościele rozumiesz, jak przy ołtarzu śpiewa.

— Masz prawdę, — rzekł Michał, — w Jerozolimie powinniśmy ich znaleźć. Okręty odchodzą pono z Marsylii do Palestyny. Ale Kirylle, jeżeli ich nie znaleziemy? cóż wtedy?

— Co? nie znaleziemy? Pies zwietrzy zwierzynę, a czyż twoja zemsta nie zaostrzy ci twego węchu więcej jak psiego? Ho! ho! już my ich wytropimy.

— Dobrze. Zróbmy więc jak mówię.

— Czyń, jak ci się mądrem być zdaje, ja wszędzie pójdę za tobą.

W krótce potem statek odpływający z Marsylii zabrał ze sobą dwóch podróżnych. Byli nimi Michał i Kiryłł. W miesiąc później zawinęli do portu w Tripolis, w kilka dni po przybyciu Syreny.

Więc Michał już był w Palestynie, ale cóż teraz począć? dokąd się obrócić? czy udać się do Jerozolimy? A może Kostrzewskiego jeszcze w Palestynie nie ma. Temi myślami mając głowę nabitą, przechodził się nad portem. W tem usłyszał dwóch ludzi rozmawiających ze sobą po rusku. Michał, który znał ten język dosko-

nale, zbliżył się ku nim. Byli to ludzie silnej budowy ciała, całkiem zarośli. Twarze ogorzałe były tak surowe i odrażające, że Michał wzdrygnął się mimowoli. Przystąpiwszy do nich, przemówił w ich języku.

— Czyście wy Rusin? — zapytali zdziwieni.

— Nie Rusin, ale Polak, — odrzekł Michał, — a przybywam jako pielgrzym w zamiarze nawiedzenia grobu Zbawiciela.

— Gdyśmy byli na wodzie, — rzekł jeden Rusin, — napadli nas korsarze, i Polak jeden walczył z nami, aby nam dopomódz... Był to pielgrzym... Ha! okrucieństwo tego Lacha przechodziło wszelkie pojęcie.

— A ten drugi, czy był lepszy? — dodał drugi Rusin. — Jakżeż nie cieszył się, kiedy nasi... to jest chciałem mówić, kiedy korsarzy na masztach powieszono! I oni byli pielgrzymami... Zbójce to byli... przeklęte Lachy...

Michał był zdziwiony i zarazem ucieszony, gdyż mu przeczucie powiadało, że znalazł nić, po której będzie mógł dojść do kłębka.

— Polacy, mówicie, byli na waszym okręcie? Nie byłaż z nimi kobieta? — zapytał Michał.

— Tak jest, była kobieta, ładne pieścidełko; pewno żona starszego Lacha.

Nie było wątpliwości, że to byli Kostrzewscy. Lecz któż ten drugi mężczyzna?... ach prawda! Jerzy... Wiedział już Michał co chciał wiedzieć.

W tem nadszedł łucznik. Wpatrzył się w Rusinów, zdziwienie malowało się na jego twarzy — nagle skoczywszy do jednego, zawołał:

— A zkąd się ty tu wziąłeś, Prokopie?

— Kiryłł!! — rzekł równie zdziwiony Prokop.

— Tak, to ja jestem. Ale jakże? ty jeszcze żyjesz? a wszakże na własne oczy widziałem, jakżeś wierzgał nogami, wisząc na drzewie, aż się serce radowało.

Ho! ho! bratku, — odrzekł Rusin z uśmiechem, — wszakżeż z tobą nie było lepiej. Prawda, widziałeś mnie na drzewie, ale ci się wtedy pewno patrzeć nie chciało.

— Prawda, prawda, — rzekł Kiryłł, kiwając głową, — nie chciałbym mieć więcej na szyi takiej lipowej chustki, przywiązanej do gałęzi.

— Oj i ja też nie!... — dodał Prokop.

Kiryłł zwracając mowę do Michała, rzekł:

— Michale, sprawny to chłopak z tego Prokopa. On będzie nasz, a ręczę ci, że on ma lepszy węch od psa.

— Cóż to, czy wy się znacie? — zapytał Michał zdziwiony.

— Ho! ho! znamy się dobrze. Służyliśmy razem u jednego pana, który się żywił opatrznością Bozką — znajdował, czego nie zgubił, a brał, czego nie pożyczył. Ale źli ludzie zmówili się na nas, pana naszego posłali przez miecz do piekła, a nas powieszono.

— Jakto powieszono, a przecież żyjesz? — rzekł Michał spoglądając ze zgrozą na zbójecką twarz Kiryłła.

— Prawda, że żyję, ale mnie jednak wprzód powieszono, a i memu kochanemu Prokopowi pętelkę założono na szyję i wciągnięto na drzewo. Co się dalej stało, nie wiem, gdyż umarłem.

— Wciągnięto mnie wprawdzie na gałąź, — rzekł Prokop, ale całkiem nie powieszono, gdyż w tej chwili inny oddział naszych nadbiegł nam na pomoc, więc nas uwolniono.

— Ja — mówił znów Kiryłł, — nie chciałem szyi mojej podobnej próbie poddawać, więc skorom się uwolnił, opuściłem to rzemiosło, i udałem się do ciebie Michale. Ale co się z tobą robiło, Prokopie?

Prokop nic na to nie odpowiedział, rzekł tylko, wskazując na swego towarzysza:

— Kirylle, znasz Mikołaja? Ale nie, ty go nie znasz, gdyż on należał do drugiego oddziału. Ręczę ci jednak, że walny chłopiec.

Podczas gdy Mikołaj Kiryłła witał, zapytał znowu Prokop łucznika:

— Kirylle, czy i ty pielgrzymujesz do Jerozolimy?

— A gdzie tam! — odrzekł Kiryłł, rzucając głową na obie strony. — Prawda, idę do Jerozolimy, ale nie jako pielgrzym, lecz jako mściciel.

— Jako mściciel? Nie rozumiem.

— Oto Prokopie, powiem ci całą przygodę. Mego towarzysza, — rzekł, wskazując palcem na Michała, — kazał pewien człowiek kijem oćwiczyć. Więc tego człowieka szukamy, aby mu również taką sprawić łaźnię.

Michał przygryzł wargi na opowiadanie Kiryłła, ale udając obojętność, zapytał:

— Nie mógłbyś mi Prokopie opisać tych pielgrzymów, którzy się znajdowali na waszym okręcie?

— Starszy, — rzekł Prokop, — jest wysoki, ma włos czarny, wąs i brodę obfite, nos orli, barki szerokie. Drugi także też wysoki, ale bez brody. Kobieta młoda, ładna, średniego wzrostu, zdaje się, że jej imię Marya...

— To oni, — krzyknął Kiryłł, — przerywając Prokopowi.

— Tak to oni, — dodał Michał.

— Jakto oni? czyż na tych pielgrzymach chcielibyście się zemścić? — zawołał Mikołaj. — O! jeżeli tak, to my od was nie odejdziemy.

— Ha! więc pójdziemy z wami, — rzekł Prokop, — wiesz Kirylle, że się na co przydamy.

— Oddamy za swoje — rzekł Mikołaj i splunął.

— Cóż on wam zrobił? — zapytał zdziwiony Michał.

— Co zrobił? on? dwa nasze statki zmarnował, kilkudziesięciu ludzi zabił, a resztę kazał sromotnie powiesić na masztach.

— Ha! moja strzała, mam ją przy sobie! — zawołał Kiryłł radośnie.

— Ta strzała na nic ci się nie przyda — rzekł Prokop — jego się strzała nie ima.

— Cóż to znowu za gadanina?

— Nie gadanina, mój bracie, ale szczera prawda. Sam do niego strzeliłem, godząc prosto w pierś... a wiesz, że nie chybiam. Strzała ugodziła, ale odpadła jak od kamienia... a on na to ani nie zważał.

— Tak, tak, — powtórzył Mikołaj, — to jest prawda. Gdyśmy do niego strzelili, to nasze strzały albo poszły w górę, albo przebiegły bokiem. Śmiał się łotr z naszych strzał... i pomimo męztwa naszego, jednak nas zrabował, pozabijał, popowieszał. Żeby go piorun spalił!

— Nic a nic was opryszki nie rozumiem, — krzyknął Michał, — komuż on statki zmarnował? kogoż kazał powiesić?

— Opowiem od początku rzecz całą, — rzekł Prokop — bo widzę, że twa pusta głowa niczego domyślić się nie może. Po onym czasie, kiedyśmy cudem śmierci z rąk uszli, zebrało się nas kilkudziesięciu i już nie na lądzie, ale na Dniestrze prowadziliśmy dalej nasze rzemiosło. Gdy nas i ztamtąd wykurzono, popłynęliśmy na Czarne morze, ale tam nie można się było długo utrzymać, więc przedarliśmy się na morze Środziemne. Tu nam szło wybornie. Mieliśmy dwa statki, na których było tak bezpiecznie, jak na lądzie, a wywijać niemi tak snadno, jak koniem. Dawno czatowaliśmy na statek „Syrena", który wiózł bogate towary z Carogrodu do Tyru. Wreszcie udało nam się Syrenę zdybać. Napadliśmy ją... ale on, ten Lach, którego wy ścigacie, prawie sam jeden potęgę naszą zdruzgotał. Ja i Mikołaj cudem uszliśmy śmierci, przebrawszy się za podróżnych w czasie zamięszania. Nie poznano nas, przybyliśmy tutaj... i oto żywi jesteśmy, gotowi na wasze usługi. Teraz powiedzcież sami, nie mamyż za co mścić się na nim? My cośmy przed kilku dniami byli bogaczami, dziś dla niego nie mamy się czem posilić? I nicże on nam nie zawinił? O! gdybym go mógł na sztuki porąbać, jeszczeby mnie to nie nasyciło. Od was już teraz nie odstąpimy, a tak wspólnie wymierzymy łotrowi zasłużoną karę.

— Dobrze więc pójdźcie z nami. Czy oni już są w drodze do Jerozolimy? — zawołał Michał.

— Tak, wczoraj wyszli — rzekł Prokop, — mając konie, moglibyśmy ich niezadługo dopędzić, ale pieszo wątpię. Gdybyśmy ich na drodze złowili... to dobrze; wtedy możemy uczynić, co nam się podoba, ale w Jerozolimie... trudna rada... chyba pchnąć nożem.

— Masz słuszność Prokopie, — rzekł Kiryłł — a to widzę nie tylko sprawny z ciebie chłopak do uczynku, ale i mądry w radzie. Prawda, prawda, to pewnie duże miasto ta Jerozolima, i ludzi tam dużo... a nas za mało. Więc na koń!

— Ale zkądże koni wziąść? — rzekł Michał, — któż nam ich dostarczy?

— Eh! gdyby było za co, — zawołał Mikołaj, bijąc się po pustych kieszeniach, — to o konie mniejsza... ale ja i Prokop jesteśmy goli, jak święty turecki.

— Szukajmy koni, ja zapłacę! — krzyknął Michał.

Że Prokop i Mikołaj mówili biegle po syryjsku, bo jako korsarze wiele razy i długo w Syryi przebywali, więc się łatwo mogli z krajowcami porozumieć. — Znaleźli nareszcie konie; Michał zapłacił kosztownościami, które miał przy sobie. Ale niestety! na tych poszukiwaniach zeszedł dzień, wieczór i nazajutrz pora-

nek... a tymczasem pielgrzymi już trzeci dzień byli w drodze.

Skoro tylko mieli konie, puścili się natychmiast w pogoń za wygnańcami. Konie bez wypoczynku biegły cały dzień pierwszy, ledwo pozwolono biednym zwierzętom wieczorem cokolwiek wytchnąć i pożywić się. Dzień był nadzwyczaj skwarny i upał tak nieznośny, że wszyscy byli nadzwyczaj znużeni. Skoro więc tylko usiedli, posnęli twardo, a gdy się obudzili, już zorza rumieniła wschodnią część nieba. Krzyknął Michał, że tyle czasu na próżno zmarnowano i wnet zatętniły kopyta końskie. Dziś jazda nie szła tak sporo, jak wczoraj. Okolica była górzysta, czasem z koni zejść musieli, z obawy, aby i koń i jeździec nie wpadli w przepaść. Słońce ciskając promienie prawie prostopadle na głowy jeźdźcom, a zarazem zbierając wszystkie promienie w dolinach w jeden punkt, sprawiało tak niesłychany upał, że konie już około południa zaczynały być jeźdźcom nieposłusznemi.

— Klnę się na wszystkich bogów, — krzyknął Prokop, — że jeżeli karku nie skręcę, to przynajmniej tak się upiekę, że sępy i orły będą miały ze mnie smaczne pożywienie.

— Ba! i ze mną nie lepiej, — dodał suchym głosem Kiryłł — pragnienie piekielnie mnie pali, a gardziel tak się ściska, jakby mi lipowy stryczek na szyję zakładano.

— Niech ich piorun spali, przeklętych Lachów! — zawołał spluwając Mikołaj. — Jak tylko wyjedziemy na tę oto górę przed nami i dojedziemy do drzew, których wierzchołki spostrzegam, już ani kroku dalej dzisiaj nie zrobię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWEDZIARZ.

KARA PO SMIERCI.

(Ciąg dalszy.)

Jakoż przywoławszy do życia przestraszoną niewiastę, chwalili jej odwagę i dali jej obiecaną nagrodę. Ów śmiałek co ją spowodował do czynu, zapytał, jak jej się powiodło i czy się kościotrup nie opierał. Niewiasta jeszcze blada od strachu, rzekła:

— Bóg nie dozwolił, żeby mi się co złego stało. Zdawało mi się tylko, gdym niosła szkielet, że mnie ktoś ściga. Nie chciałabym i za największe pieniądze drugi raz kusić Boga i Pana.

— Lecz cóż teraz czynić z kościotrupem? — zawołał jeden z hultajów.

— Niech go znowu odniesie tam zkąd go wzięła, — rzekł pierwszy, — i niech go postawi na jego dawnem miejscu!

Lecz niewiasta drżąc na myśl samą, iżby tę szkaradną drogę raz jeszcze odbyć miała, odparła:

— To nie było między nami umówione, panie! Ja dotrzymałam com przyrzekła, a wy sami powiedzieliście, żem nagrodę moję rzetelnie zarobiła.

— Zarobiłaś! — odrzekł lekkomyślny pijak, lecz cóż nam po kościotrupie przy naszych wesołych godach? Nie mamy czasu myslać o śmierci, a czasu dosyć do odpokutowania na-

szych grzechów. Jeszcze więcej sobie możesz zarobić pieniędzy, jeśli odniesiesz tego szkaradnego gościa.

Na to rzekła niewiasta:

— Ach panie, rozważcie, że to grzechem jest, wieść drugich na pokuszenie. Ja przysięgłam, o marne pieniądze już nigdy Boga nie kusić.

— Więc ci przyrzekam, że się opiekować będę dzieckiem twojem, póki nie będzie miało swego chleba; a gdybym miał prędzej umrzeć, zapiszę mu tyle testamentem, iżby i po mej śmierci przyrzeczenie moje się spełniło. Obecni tu są świadkami mego przyrzeczenia.

Niewiasta patrzała ze zgrozą na mówiącego, a gdy skończył, okazała się na jej twarzy walka uczuć sprzecznych. Wznosząc oczy ku niebu, mówiła cichym głosem sama do siebie:

— Panie na wysokości objaw mi, co mam czynić!

Potem złożyła ręce, jakby do dalszej modlitwy, a po chwili podniosła się nagle i rzekła do kusiciela:

— Niech tak będzie, niech się dzieje zemną podług Bozkiej woli! Lecz grzech mój niech na was spadnie! I odważnie przystąpiwszy do stołu, na którym szkielet rozpostarty leżał, uchwyciła klekocące kości, wzięła je na plecy, i wyszła z szynkowni. Spojrzenia wszystkich obecnych towarzyszyły jej, lecz nikt nie wyszedł za nią z domu.

Odwagi do podjęcia je na nowo tak śmiałego uczynku dodawało niewieście to, że prosząc w strachu swoim Boga o radę, ślubowała sobie, że w razie szczęśliwego odbycia niebezpiecznej drogi, poświęci dziecko swoje kościołowi. Ta myśl, która jej przyszła w chwili gdy się oświadczyć miała, zdawała jej się być objawieniem Bozkiem, dla tego jedynie przystała na to, czego od niej żądano i udała się z szkieletem w drogę. Gdy szła przez wieś, szkielet klekotał straszliwie na jej plecach; lecz do tego już się była przyzwyczaiła, nie zważała więc na to. Gdy się atoli zbliżała do wzgórza, na którem stał kościół, brzemię, które niosła, stawało się coraz cięższem. Z początku nie zwracała na to uwagi, bo zmysły jej były w pewnem odurzeniu; biegła więc naprzód, prawie bez zmysłów. Lecz gdy się zbliżyła do bramy cmentarza, wyrwał ją powiększający się ciężar z obojętności; zdawało jej się, jakoby centnar dźwiga na plecach, a z każdym krokiem ciężar się powiększał. Strach ogarnął niewiastę, niesłychana tęskność ścisnęła jej serce, upadała prawie pod brzemieniem przygniatającem ją; jeszcze krok; a niewiasta stanie przy bramie; jeszcze jeden, już będzie na cmentarzu. Szkielet przygniata ją do ziemi, lecz zbierając ostatnie siły, wlecze aż do bramy kościelnej, gdzie zwykle z prawej strony przed sklepieniem grobowem stał z złożonemi rękoma, i już go chce zrzucić i postawić na zwykłem miejscu przy murze, gdy wtem czuje ze zgrozą, że ręce kościane się poruszają i obejmując ją za szyję, mocno chwytają. Zarazem słyszy za sobą głos taki grobowy.

— Nie puszczę cię, aż mi nie wybłagasz przebaczenia u panny w grobie. Wejdź do grobu i proś za mną!

Biednej niewieście najeżyły się włosy, pot zimny oblał jej czoło i drżała, słysząc te okropne słowa. Ze strachu prawie oniemiała.

— Czy chcesz uczynić podług mojej woli? — odezwał się na nowo głos kościotrupa.

— Uczynię, odrzekła niewiasta w swym strachu śmiertelnym.

Wtedy zimne członki szkieletu puściły ją i brzemię spadło z jej pleców. Na wpół obłąkana obejrzała się, a przed nią stał szkielet. Zwróciwszy wzrok na oblicze jego, spostrzegła, że twarz z ciała ogołocona, nabrała nowego życia. Szczęki poruszają się, a głos szkieletu słyszeć się daje:

— Podnieś kamień grobowy i zejdź po schodach! Znajdziesz tam pannę w czarnej szacie siedzącą w grobie i w książce czytającą przy świetle lampy. Udaj się do niej z prośbą, żeby mi przebaczyła, bo prędzej dostąpić nie mogę miłosierdzia Bozkiego.

(Dokończenie nastąpi.)

KLARA
CZYLI
ZWYCIĘZTWO CNOTY.

POWIEŚĆ.
NAPISAŁ
X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

— Panie rycerzu, rzekła po chwili milczenia, chciałabym pomówić z wami o zdarzeniu, nad którem właśnie rozmyślałam; chciałabym wasz wyrok usłyszeć w tej mierze. Słuchajcie:

— W lichej lepiance mieszka biedna wdowa. Ma ona jedyną córkę, którą kocha nad wszystko. Dziewczyna jest skromna i niewinna, i nic więcej. Osłodzić starość swej matce, jest jej jedynem życzeniem i usiłowaniem. Wtem przybywa pan znakomity i zadaje biednej matce cios najokropniejszy, stokroć boleśniejszy, niżeli śmierć sama. Wydziera z jej objęcia to jej jedyne dziecię i zostawia biedną, opuszczoną matkę samą z jej boleścią i zgryzotą. Przed biedną, porwaną dziewczyną udaje ów pan, iż jest jej wybawcą, grając nędzną komedyę. Na pozór rozprasza rabusiów, których sam namówił do jej porwania, i którzy są jego podwładnymi i towarzyszami broni. Pod maską wybawcy spodziewa się tem bardziej stać się jej uwodzicielem. Szlachetne uczucie jej wdzięczności nadużywa jako broń przeciwko niej samej. Oddaje tę biedną, nieszczęśliwą dziewczynę w ręce niecnej kuplerki, która nie jest wprawdzie jego ciotką, czem ją być mieni, lecz jego przyjaciółką i pomocnicą. Nie szczędzi żadnych forteli, by uwieść nieszczęśliwą dziewczynę. Stara się olśnić ją strojami, zatruć jej serce pochlebstwem, oszukać ją fałszywemi przyrzeczeniami. Obiecując jej wziąść ją za żonę, lubo nie myśli o tem i myśleć nie może, bo przez to oburzyłby na siebie szlachtę z całej okolicy. Oprócz tego, przez to ożenienie utraciłby połowę swoich majętności, o czem wie dobrze, i nigdyby tego nie uczynił. Nie dosyć, że chce pozbawić biedną dziewczynę honoru, cnoty, niewinności i wszelkiego szczęścia w tem życiu, lecz duszę nawet jej chce zgubić na wieki. Dajmy na to, iż matka tej dziewczyny przyszłaby do was i rzekła:

— Wy, panie rycerzu, należycie do szlachty krajowej. Bóg powierzył wam bronić słabszego od przemocy wrogów. Waszą powinnością jest bronić niewinności. Do was wołam o wymierzenie sprawiedliwości temu, który gorszy jest niż zbójca i morderca. Bo zbójca odbiera tylko ludziom pieniądze i dobra doczesne, ale ten zbrodniarz wydziera nam co mamy najdroższego, cnotę, honor, spokojność, czyste sumienie. Zbójca odbiera nam tylko życie, które prędzej czy później utracić musimy; ale ten człowiek wydziera dziecięciu memu zbawienie jego duszy. Gdyby tak ta matka przemówiła do was, cóż odpowiedzielibyście jej, panie rycerzu?

Rycerz zmieszał się i stał przez chwilę w niemem podziwieniu. Spojrzał na Klarę badawczem okiem i rzekł nakoniec:

— Czy to ja mam być tym złym człowiekiem, którego w tak złych odmalowałaś kolorach?

— Tak, panie rycerzu, odpowiedziała Klara stanowczo.

— Któż się odważył wkraść tajemnie do ciebie i tak mnie szkaradnie oczernić? Przysięgam na Boga i na moją szablę....

— Nie przysięgaj, rycerzu, rzekła Klara z godnością, nie staraj się dawnych zbrodni powiększać jeszcze nowemi. Nie potrzebujesz oburzać się na nikogo. W tej chwili dopiero, gdym samotnie modliła się i płakała, zesłał mi Bóg światło, które mnie oświeciło o wszystkiem.

Rycerz użył teraz całej swej wymowy, by Klarę na inne naprowadzić myśli.

— I gdybym nawet użył był tych środków, by cię piękna Klaro dostać w moc moją, czy nie widzisz w tem dowodów najszczerszej mojej miłości? A czyż ta miłość bez granic może się nazwać występkiem? Przyrzekając ci, iż zostanę twym mężem, mówiłem to, co serce me czuło. Gdyby to było w mej mocy, zaprowadziłbym cię w tej chwili do ołtarza. Nie przeczę, iż wielkie zachodzą do tego przeszkody, lecz ufaj mojej odwadze i mojej silnej szabli, iż je pokonać zdołam. Biada tym, którzyby chcieli mi wydrzeć ciebie. Na przekór całego świata ogłoszę cię małżonką moją. I cóż tak złego spotkało cię w mym zamku? Czy ci tutaj nie wygodniej, niż w twych rozwalinach, które cię zaledwie chronią od deszczu? Czyż nazywasz nieszczęściem, być ubraną w piękne bławaty i złoto, zamiast w twej ubogiej odzieży? O Bozka Klaro, więc ty miałaś za szczęście żyć wśród sów i nietoperzy, nosić wodę i drzewo, siano grabić i jeszcze ciężej pracować? Przysięgam ci, iż ten zamek, którym rozrządzać mi wolno, oddam ci jako twą własność z wszystkiemi do niego należącemi włościami. Będziesz należała do pierwszych dam w państwie. Biada temu, kto cię jaśnie panią nie nazwie. Choćbym nawet był przez okoliczności zmuszony innej oddać rękę, serce moje zawsze ci wiernem zostanie.

— Milcz, rycerzu, zawołała Klara, powstając z krzesła z godnością królowej. Nie mam brata, ni ojca, któryby za tę zniewagę pomścił się na was krwawo. Jednakowoż jest mściciel wielki nad nami. Jego wzywam, on mi dopomoże. Gdy tak przyszłą żonę waszą oszukać zamierzacie, jakże ja mogłabym dla was mieć choć iskierkę ufności? Odbierzcie napowrót wasze pyszne stroje; o, gdybym mogła natychmiast zamienić je na moje dawne łachmany, jak Gertruda me ochędożne nazwała rzeczy. Z niemi wydartą została spokojność moja. Z niemi odjęto mi szczęście. Oto leżą tam wasze perły i drogie kamienie; nie nosiłam ich ani pół godziny. Te perły niczem są w porównaniu do łez, któreście mi już wycisnęli i które mi jeszcze wyciskać zamyślacie. Ten dyament w owym pierścieniu iskrzy się okropniej, niż oko wilka, który mnie chciał poźreć. Wolę być najnędzniejszą służebnicą, niż za tę cenę, której po mnie wymagacie, być władczynią pałacy. Lecz rycerzu, wy mnie nie zrozumiecie, dla tego proszę was, opuśćcie mnie. To, co wy tak bardzo cenicie, złoto, perły i drogie kamienie, jest dla mnie niczem. Tych dóbr, które są kosztowniejsze nad wszystkie ziemskie przepychy, wy wcale nie znacie. Zostawcie mnie więc w mojej prostocie. Ja uważam was za mądrego, lecz nie szlachetnego człowieka, i nigdybym przyjaźni waszej nie chciała. Odstąpcie więc odemnie. Gardzę szczęściem, które mi przeznaczyć chcieliście, wolałabym raczej w ciemnem więzieniu na spleśniałej słomie przepędzić me życie.

— I do tego przyjść może, rzekł Artur z oburzeniem. Któż jestem, iż śmiesz obchodzić się tak ze mną? Odrzucać z pogardą mą miłość. Czy wiesz, iż nic bardziej nie boli jak wzgardzona miłość? Dotąd widziałaś mnie tylko łagodnym i uprzejmym jak baranka. Ale drżyj, by nie wzbudzić lwa uśpionego. Rozważ, iż jesteś całkiem w mojej mocy i ujść z pod niej nie możesz. Jeżeli do mej woli zastósować się nie będziesz chciała, będziesz do tego zmuszoną.

Rycerz wybiegł z gniewem z pokoju. W zapale wymówił niejedno słowo, którego później żałował. Wyjawił zanadto otwarcie swój sposób myślenia, który tak był odmiennym od zasad Klary. Polecił więc Gertrudzie, by naprawiła błąd jego, ułagodziła Klarę i wszystko na dobrą naprowadziła drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Rzęsa skalna, rośnie po starych murach; lub po miejscach ciemnych i wilgotnych: listki ma okrągłe i czerwono nakropiane tylko z jednej strony, wydaje się jak mała paproć, kwiatu i nasienia widocznego nie ma. To ziele służy na kaszel i na angielską chorobę dla dzieci.

Rzadkiew, roślina ogrodowa, prócz wielkiej, jest mała miesięczna i czarna zimowa. Rzadkiew kruszy kamień, uwolnia piersi od flegmy, służy na kaszel, na chwiejące się zęby, i na zgniliznę w ustach.

Stokroć czyli Stokrotka ogrodowa i polna, liście jej zwłaszcza świeże, są skuteczne na szkorbut.

Świętojańskie ziele, też Dzwonkami zwane, Hipericon, bardzo znajome i użyteczne. Kwiat ma żółty, długo moczący w oliwie nazywa się olejkiem świętojańskim; ten wewnętrznie skuteczny na oberwanie; kwiat jego kruszy kamień, wrusza miesięczne, i przywraca sposobność do płodzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)